

Eugeniusz S. Kruszewski

Sopocka Alma Mater

Acta Cassubiana 15, 178-187

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Eugeniusz S. Kruszewski
Kopenhaga

Sopocka Alma Mater

Uroczu położony na skraju wysoczyzny gdańskiej budynek dzisiejszej Biblioteki Głównej Uniwersytetu Gdańskiego ma bogatą przeszłość. Licząc tylko od 1945 r., mieścił Wyższą Szkołę Handlu Morskiego, a następnie Wyższą Szkołę Ekonomiczną, która została wchłonięta przez powstały w 1970 r. Uniwersytet Gdański¹.

Dzisiaj po wielu, wielu latach, doskonale jawi się w mojej pamięci, jako miejsce wówczas upragnionych studiów. Aczkolwiek nie danym mi było studiować prawo, jakie zamierzałem podjąć we Wrocławiu po maturze w 1950 r., ani historii w 1957 r. po zwolnieniu z wojska, to jednak z wdzięcznością wspominam tę uczelnię. Byłem przecież nie tylko opóźniony w podjęciu studiów, ale w dodatku ograniczony wymogami władz możliwością studiowania poza Trójmiastem, więc wybrałem ekonomię w Sopocie.

Wyboru nie żałuję, bo ponownie miałem szczęście (wcześniej w szkole średniej) do grona wykładowców, wspaniałych specjalistów, pedagogów oraz małej i dużej ojczyzny patriotów. Do matury zaraz po wojnie przygotowywałem się według przedwojennego programu i po części na podstawie przedwojennych podręczników. Studia przypadły w okresie październikowej „odwilży” 1956/57. Na sopockiej uczelni zlikwidowano wówczas katedry marksizmu-leninizmu i innych dziwacznych tworów, a zajęto się nauką.

Oczywiście, prócz wydarzeń, jakie miały miejsce na uczelni, jak przykładowo powitanie w auli po powrocie z londyńskiej emigracji do kraju pisarki Zofii Kossak-Szczuckiej, pamięć zanotowała niektórych wykładowców, którzy w taki czy inny sposób się wyróżniali, zwłaszcza ci, z którymi miałem zajęcia i egzaminy.

¹ Wyższa Szkoła Handlu Morskiego powstała w Gdyni 17.08.1946 rozporządzeniem ministra oświaty Czesława Wycecha, została w 1947 r. przeniesiona do Sopotu, a uchwałą Rady Ministrów z 3.05.1952 nadano jej tę nazwę, jaką przyjęły wszystkie uczelnie ekonomiczne w PRL.

* * *

Jednym z nich był przybyły wówczas z Warszawy matematyk, docent **Henryk Edel Kryński**. Był niskiego wzrostu, wspomagający sobie laską przy chodzeniu. Był wymagający, ale sprawiedliwy w ocenianiu, prowadził interesujące wykłady w zakresie planowania gospodarczego. Zapamiętałem go, gdyż moją piętą achillesową była matematyka, a na egzaminach u niego otrzymałem oceny dobre i wspomógł mnie po latach swoim podręcznikiem przy nostryfikacji dyplomu w Kopenhadze. Grono profesorów stwierdziło w 1970 r., że poziom prezentowany w podręczniku H.E. Kryńskiego jest wyższy od programu na duńskiej uczelni...

Kryński przez planowanie gospodarcze rozumiał modele matematyczno-statystyczne w nauce ekonomii, czyli ekonometrię. Z lubością na pierwszym roku wywoływał przed wykładem do tablicy słuchaczy per „towarzyszu sekretarzu” lub „panie majorze” (dając do zrozumienia, kto jest na sali) i po zadaniu tylko jednego pytania z ostatniego wykładu, przeważnie nie otrzymywał od owych studentów zadowolającej odpowiedzi. Ciekawe, że intuicyjnie wywoływał tych, którzy z takich czy innych powodów nie mogli sprostać zadaniu. Po pierwszych kilku miesiącach postanowił „przybliżyć” nam tę dyscyplinę naukową na bardziej realnych przykładach z życia Polski Ludowej. Wygłaszał wówczas m.in. taką mniej więcej sentencję:

„Otóż w kraju potrzebujemy krawców, szewców i innych fachowców rzemieślników, a tymczasem niektórzy marnują czas i zajmują miejsca tym, którzy chcą studiować”.

Podczas jednego z wykładów docent Kryński zadał studentowi pytanie: – Niech nam pan powie, jaka jest różnica między gospodarką planową w krajach demokracji ludowej, a programowaniem w kapitalizmie?

Odpowiedzi, bo i inni także zabrali głos – koncentrowały się na sferze politycznej – były po prostu gadaniem nic niemówiącym o istocie zagadnienia, ale wywody ideologiczne były prawidłowe.

Wykładowca, rasowy matematyk, z usłyszanych odpowiedzi rzecz jasna nie był zadowolony. Nieco zirytowany sam wyjaśnił, że w gospodarce planowej wykonanie zawsze odbiega od założonego planu, natomiast programowanie produkcji w kapitalizmie jest zbliżone do wykonawstwa. Przekładając to na język bardziej zrozumiały, mówił, że w tzw. socjalizmie plany wykonuje się propagandowo ponad plan, ale na rynku brakuje towarów, natomiast na Zachodzie produkcja jest zbliżona do potrzeb ludności i z reguły na rynku towarów nie brakuje.

Warto przypomnieć, że były to jeszcze lata tak zwanej polskiej jesieni, albo odwilży... Pamiętali bowiem nasi wykładowcy niezbyt odległe czasy, gdy sekretarze partii telefonowali do dziekanów czy rektorów szkół wyższych i uniwersytetów z pytaniem, na którym roku studiów są w danej chwili. Zakłopotany rektor, dziekan czy profesor odpowiadał, że na takim to a takim roku. Jeśli „student” nie wykazywał entuzjazmu lub wyrażał niezadowolenie ze zbyt wolnego przecho-

dzenia z roku na rok – wówczas rozmówca z ramienia uczelni uznawał swoją „pomyłkę” i odpowiednio korygował rok studiów.

Zresztą w latach pięćdziesiątych zasłużeń aktywności (w tym dyrektorzy z nomenklatury) mogli uzyskać odpowiednie dyplomy uniwersyteckie za pośrednictwem „wysokiej” komisji m.in. w Łodzi. Zdaniem osób, które się o ten sposób zdobywania dyplomów „otarli”, kandydat na magistra czy inżyniera przyjeżdżał na „egzamin” przed komisję i miał w zasadzie odpowiedzieć na jedno pytanie: – na jaki dyplom reflektuje. Następnie wystawiano odpowiedni dokument danej uczelni. Tacy „inżynierowie” byli oczywiście także na terenie Gdańska.

Zabawnie było, gdy w latach sześćdziesiątych Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie organizowała zjazd swoich absolwentów. Ów inżynier J.B. chciał także wziąć udział w zjeździe, przynajmniej w części „artystycznej”, czyli skorzystać z dobrodziejstw dla ciała. Miał jednak problem – do jakiego rocznika ma się dołączyć. Ze zrozumiałych względów nikogo ze „swojego rocznika studiów” nie znał. Przywołał więc swego podwładnego i zapytał, do której grupy absolwentów się wpisał, bo chciałby również być w tej samej.

W kuluarach żartowano, że będzie miał przynajmniej jednego „znajomego” ze studiów. Osoba ta, która ukończyła regularne studia, oczywiście bez narażenia się na konsekwencje rozpowiadać o tym nie mogła.

Znałem kilku przedwojennych techników po szkole w Bydgoszczy czy Wawelberga w Warszawie. Oni mogli także ubiegać się o uzyskanie stopnia inżyniera na podstawie wieloletniej praktyki, ale byli zgodni, że tym się różnią od „inżynierów”, że potrafią praktycznie i teoretycznie rozwiązywać specjalistyczne problemy. Jednym z nich był Piotr Zieliński, przed wojną kierownik spichrzy zbożowych w porcie gdyńskim, a po wojnie kierownik działu technicznego i inwestycji zakładów zbożowych i młynów w województwie gdańskim.

* * *

Powszechnie szanowany profesor **Józef Kulikowski**, specjalista od ekonomiki przemysłu, uchodził za bardzo dobrego fachowca. O ile dobrze pamiętam, przed wojną był dyrektorem Izby Handlowo-Przemysłowej w Gdyni. Był to czas, że wszystko, co przedwojenne było najlepsze! Nawet moja generacja przyjęła to powiedzenie za swoje.

Uśmiechniętego profesora nie pamiętam, ale zawsze był rzeczowy i życzliwy, szczególnie w stosunku do tych, którzy wykazywali się solidnością w studiach. U niego pisałem pracę magisterską. Nie mam pojęcia, jak sobie radził z tymi, co wierzyli w opatrność monopartii, ale łatwo sobie wyobrazić, jakie przeżywał wewnętrzne męki. Po latach, gdy byłem w Gdyni, odwiedziłem jego mogiłę na witomińskim cmentarzu.

Historyk **Wacław Odynieć** był jednym z najbardziej ulubionych wykładowców nawet u tych, którzy nie darzyli historii zbyt wielką sympatią. Imponował

nam swoją wiedzą i erudycją. Wykład rozpoczynał rebusem m.in. przez przytaczanie dni tygodnia, miesiąca oraz dodając lub odejmując pewną ilość lat od bardziej powszechnie znanych wydarzeń, jak na przykład bitwy pod Grunwaldem i pytał – co się wówczas wydarzyło? Słuchacze winni odgadnąć, jakie wydarzenie wykładowca ma na myśli. W ten oryginalny sposób przybliżał nam ojczyście dzieje i pobudzał wyobraźnię.

Oczywiście, łatwiej było „plywać” w historii ludowej ojczyzny, która zaczęła się od 22 lipca 1944 r., albo jak to wówczas mówiliśmy „dwa dwa lipca dawniej Wedel”, w ślad za upaństwowioną słynną firmą czekolady.

W. Odyniec wiedział, że w takich przypadkach raczej nie może oczekiwać prawidłowej odpowiedzi, i gdy wszyscy z powagą „głęboko” się zastanawiali, po chwili wyjaśniał zdarzenie.

Zagadki te niewątpliwie działały na słuchaczy, a zarazem były wspaniałą zabawą. W ten sposób uświadamiał wielu słuchaczom, że dzieje Polski są bardzo bogate i doniosłe w wydarzenia nie tylko dla naszej ojczyzny, ale całego kontynentu. Osobiście zafascynowała mnie jego pasja, z jaką odkrywał przed nami ważne zdarzenia w naszej historii narodowej.

Wacław Odyniec był natchnionym, z Bożej łaski nauczycielem akademickim, podobnie jak jego starsi koledzy z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, których swego czasu wykładów słuchałem we Wrocławiu. Umieli oni zainteresować młodzież ojczystą historią i zaszczerpić patriotyzm na całe życie.

Nasze spotkanie po trzech dziesiątkach lat niewidzenia było bardzo serdeczne. Będąc w Gdańsku na zaproszenie profesora Zenona Ciesielskiego z wykładami w Katedrze Skandynawistyki UG (w pewnym sensie mojego uniwersytetu), spotkaliśmy się w zasłużonym Gdańskim Towarzystwie Naukowym, gdzie z radością powitał swego dawnego studenta, jak zwykle z iskrą w oczach. „Niech pan nie myśli, że o książce zapomniałem”, powiedział, „napisałem recenzję”, wręczając mi nadbitkę. Jako wnikliwy i rzetelny historyk zapytał mnie na swój prywatny użytek, czy mój skrót „S” przed nazwiskiem oznacza „Skarbek”. Po otrzymaniu wyczerpującego wyjaśnienia stwierdził, że „w tamtych czasach nie można było wszystkiego ujawniać”. Pożegnaliśmy się równie serdecznie, nie przeczuwając, że było to już nasze ostatnie spotkanie.

* * *

Zastępca profesora (było takie stanowisko) **Tadeusz Pierchalski** wtajemniczał nas w sekrety fizyki i chemii w swoim królestwie – laboratorium, w którym w charakterze „pazia” urzędowała młoda asystentka. Podkreślam to, bo lubił towarzystwo młodych i ładnych kobiet, a jako samotny i roztargniony naukowiec potrzebował pewnie trochę kobiecej opieki. Słabość ta nie pomniejszała jego autorytetu naukowego – miał ogromną wiedzę i był świetnym pedagogiem.

Profesor Pierchalski także był jednym z „przedwojennych”, a zarazem legenda z portu gdyńskiego, gdzie wykonywano analizy produktów przeznaczonych na eksport i towarów przywożonych zza granicy. Bezpartyjny, z obciążeniem inteligenta niepodległej Polski, i co ważne, bez giętkiego kręgosłupa – nie został wówczas profesorem. Podkreślał swoją wiedzę i umiejętności podpisem, w którym obok nazwiska figurowały dwa „dr dr”, co oczywiście oznaczało posiadanie przez niego dwóch doktoratów i rozległą wiedzę.

Wykłady i zajęcia z profesorem przebiegały zawsze w bardzo interesujący i dowcipny sposób, zwłaszcza gdy od czasu do czasu przytaczał jakiś najnowszy, niepolityczny dowcip krążący na uczelni, albo wśród jego znajomych. Po zajęciach w laboratorium odbywały się tamże spotkania, w których brało udział szczupłe grono zaufanych studentów – co w tych czasach oznaczało bez donosicieli (partii czy służby bezpieczeństwa). W tym gronie odbywały się poważne dyskusje przeplatane aktualnymi dowcipami politycznymi i aktualną wymianę informacji pochodzących z wewnętrznych kręgów ówczesnych sfer politycznych.

Na takich spotkaniach szeroko dyskutowaliśmy m.in. na temat konieczności utworzenia Uniwersytetu w Gdańsku. Profesor Pierchalski był wielkim entuzjastą utworzenia uniwersytetu, ale trudno nam było dociec istotnej przeszkody, która uniemożliwiała jego powołanie. Prawdopodobnie, tak wówczas ocenialiśmy, był nią pierwszy sekretarz wojewódzki partii Jan Ptasieński. Uchodził za stalinowca, który nie chciał jeszcze jednego kłopotu na Wybrzeżu. Dostyc już było problemów ze studentami Akademii Sztuk Pięknych (Jacek Fedorowicz, Zbigniew Jujka i jego „Aniolki i diabełki”), WSE (Bogumił Kobiela) i Politechniki (Zbigniew Cybulski), różnymi teatrami (Bim-Bom), cyrkiem Afanasiewa, Klubem „Rudego Kota” itd. J. Ptasieński później został ambasadorem PRL w Moskwie, a w Gdańsku powstał uniwersytet.

Profesor Pierchalski był także czynny w Gdańskim Towarzystwie Naukowym. Zorganizował i przewodził Sekcji Towaroznawczej, której byłem członkiem. Już w tym czasie coraz bardziej nie widziałem siebie jako ekonomistę, zwłaszcza że moje poglądy na sprawy gospodarcze były „nieprawomyślne”. Próbowałem pisać rozprawę na temat: „Ekonomia polityczna czy polityka ekonomiczna”, ale musiałem sprawę odłożyć... Przykładów nonsensów gospodarczych w PRL, które miały na celu zaspokojenie potrzeb Związku Sowieckiego było bez liku. Można tylko przypomnieć nadmierną rozbudowę potencjału stoczniowego i hutniczego oraz kopalni, a także więcej niż kontrowersyjnego forsowania budowy elektrowni atomowej (na wybrzeżu gdańskim), a na zakazie wydobywania ropy naftowej w naszym kraju kończąc.

Z drugiej strony nie byłem urodzonym matematykiem, by zająć się na przykład ekonometrią. W owym czasie najwyższym autorytetem w tej dziedzinie w kraju był Oskar Lange, zwabiony ze Stanów Zjednoczonych A.P. przez jednych dla podniesienia poziomu nauki, przez innych dla propagandy. Komitet Centralny

stał jednak na straży i nie mógł pozwolić, by O. Lange stanowił konkurencję dla sowieckiego specjalisty W. Niemczynowa i szybko wciągnięto go do polityki...

Trzeba tu przypomnieć, że prócz kultu Stalina, „ludzie sowieccy” byli we wszystkich dziedzinach „najlepsi i pierwszymi wynalazcami” w świecie. Jako młodzi ludzie, to zjawisko odkryliśmy bardzo wcześnie przy zmaganiach sportowych. Swego czasu pasjonowałem się boksem, więc dość dobrze pamiętam międzypaństwowy mecz bokserski między ósemką Polski i Związku Sowieckiego na stadionie Legii w Warszawie w 1952 r. Byłem na tym meczu. W naszej drużynie wystąpił wówczas m.in. wicemistrz Europy Franciszek Szymura, mistrz Europy z 1939 r. Antoni Kolczyński, mistrz Europy z Mediolanu i mistrz olimpijski z Helsinek Zygmunt Chychła, brązowy medalista olimpijski z Londynu „Kaszuba” Aleksander Antkiewicz i „Blond Wenus”, Janusz Kasperczak mistrz Europy z 1949 r. Niestety, nie pamiętam, czy wystąpił w tym meczu Antoni Czortek, wicemistrz Europy z Dublina w 1939 r., ulubieniec publiczności. O jego przejściach w okresie wojny – na Pawiaku i w obozie koncentracyjnym w Brzezince (nr 139559) oraz jego walkach bokserskich dowiadywaliśmy się za pośrednictwem notatek w prasie.

W tym szczególnym powojennym okresie w życiu narodu, prócz poszukiwań swoich bliskich – społeczeństwo żywo interesowało się losami naszych przedwojennych sław naukowych i sportowych. Niestety, coraz częściej dochodziły nas przynębiające wiadomości. Przypomnę tylko los Janusza Kusocińskiego, profesorów lwowskich i krakowskich oraz tych wszystkich, którzy zginęli w Katyniu... Do tego dodać trzeba brak jednego międzypokoleniowego ogniwa, które pozostało przy życiu, ale nie wróciło do pojałtańskiej Polski.

Jeśli idzie o mecz, to pamiętam go jako wspaniałą walkę, a emocje, mimo że na stadionie Legii w Warszawie miejsca zajęli w znacznej ilości wojskowi, były nadzwyczaj żywe, czemu trudno się dziwić... Jednakże już przed meczem w moim środowisku mówiono, że nasza drużyna narodowa „musi” przegrać! Kibice na stadionie „Legii” z walki na walkę coraz wyraźniej widzieli, że polska drużyna niesprawiedliwie przegrywała.

Ale wróćmy do ekonomii. Profesorowie Edward Lipiński i Stanisław Grodek, a także inni „odstawieni na boczny tor” przed 1956 r., dopiero na początku lat sześćdziesiątych zostali „zrehabilitowani”. Profesor Lipiński został prezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomistów i jako taki otwierał nowy gmach Towarzystwa przy Długim Targu w Gdańsku. Jeszcze wówczas miałem słabą nadzieję, że może jednak coś się zmieni...

* * *

Wśród profesorów, których się pamięta, był Wielkopolanin **Bolesław Kasprowicz**. Również jeden z „przedwojennych”. Był bardzo dynamiczny i przechodząc po korytarzu sopockiej uczelni, dyplomatycznie się uśmiechał i robił

wrażenie osoby wyniosłej. Było mu do twarzy z tytułem rektora. Na jego temat krążyły różne plotki i dopiero opublikowane wspomnienia *Byłem juniorem* w 1965 r. przybliżyły nam jego osobę². Wspomnienia profesora Kasprowicza przeczytałem z przyjemnością i mogę powiedzieć, że przyczyniły się do wyjaśnienia krążących wokół jego osoby mitów, a także poszerzyły naszą wiedzę m.in. o istnieniu sieci szkół podziemnych w okupowanej Warszawie, jak również jego zasług w dziedzinie kształcenia kadr dla gospodarki morskiej powojennej Polski.

Przyjacielskie stosunki Bolesława Kasprowicza z profesorem prawa morskiego **Stanisławem Matysikiem** znalazły także w niej swoje uzasadnienie i, jak najlepiej świadczące o Kasprowiczu. Profesor Matysik był niskiego wzrostu i robił wrażenie solidnego pracownika naukowego. Nazwisko było mi jakieś bliskie i kojarzyło się ze znajomymi z Poznańskiego, ale to była tylko zbieżność.

Egzaminy ustne u profesora składało się trójkami. Nie znamy powodów takiej metody przeprowadzania egzaminów, ale uznaliśmy wówczas za korzystne dla obu stron – nikt z nas nie tracił czasu, a poza tym skracał nam czas tremy. Po kilku latach na emigracji byłem mocno zdziwiony, gdy znajomi informowali nas o eskapadzie profesora z towarzyszką do Paryża...

W miarę upływu czasu skierowany do nas zaraz na początku pierwszego roku apel o poważnym podejściu do studiów okazał się niebezpieczny. Na moim roku studia rozpoczynało 180 studentów, dwadzieścia osób ponad ustalony limit. Egzaminy i zaliczenia semestralne w pełni to uzasadniały. Jak sobie przypominam, na drugim roku było nas już o jedną trzecią mniej. Po pięciu latach – magisterium otrzymało około 30 osób.

Pracę magisterską na temat organizacji zarządzania w przemyśle spożywczym napisałem pod kierunkiem profesora Kulikowskiego. Profesor należał, jak już wspominałem, obok Darskiego, Ocioszyńskiego i Pierchalskiego, do grona przedwojennych specjalistów praktyków, jednakże w tym czasie już o znaczącym dorobku naukowym. Czas okupacji niemieckiej wykorzystali na kształcenie kadr w ramach Uniwersytetu Ziemi Zachodnich i pomnażanie swego dorobku naukowego. Świadczyło to jak najlepiej o kadrze urzędniczej w przedwojennej Polsce.

Później, na Zachodzie, spotykałem wielu naszych przedwojennych urzędników ministerialnych, w tym ministerstwa spraw zagranicznych. Jako spóźniony emigrant spotykałem ich już na wysokich stanowiskach w międzynarodowych korporacjach i jako uniwersyteckich profesorów. Wspomnę tylko kilka zaprzyjaźnionych osób – Jana Karskiego i Jerzego Lerskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki, Jana Marczewskiego w Paryżu, Józefa Jasnowskiego i Leona Koczego w Wielkiej Brytanii. Oczywiście, często uzupełniali swoje kwalifikacje poza krajem. Stąd też emigranci z reguły mają dwie Almae Matris – polską i zagraniczną.

² B. Kasprowicz, *Byłem juniorem*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1965.

W pojałtańskiej Polsce przedwojenna kadra była bezcenna, ale nie zawsze władza z nieprawego łoża im pozwalała na wkład w odbudowę wyniszczzonego kraju. Mamy liczne przykłady na wszystkich ówczesnych uczelniach, które są świadectwem usuwania lub ograniczania pracy niewygodnych dla władzy pracowników naukowych. Jeśli chodzi o gospodarkę morską, to pod ich okiem, kiedy już mogli – wyrastała młoda kadra specjalistów, gdy oni sami byli klejnotami w tej dziedzinie w kraju.

Egzamin magisterski złożyłem w czerwcu 1962 r. i o ile dobrze pamiętam jako siódmy z kolei z rocznika 1957. Komisji przewodniczył docent Tadeusz Ocioszyński, który był przed wojną wyższym urzędnikiem Ministerstwa Przemysłu i Handlu, a więc domeny wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Zesłanie Kwiatkowskiego w 1948 r. z Gdyni do Krakowa dobrze tu pamiętano. Nazwisko Kwiatkowskiego działało magicznie i tajemniczo – było nie było, był przedwojennym wicepremierem. Po wojnie nowi władcy dla propagandy mianowali go delegatem rządu do spraw Wybrzeża (1945–1948), ale niewiele miał do powiedzenia. W 1948 r. został przeniesiony na przymusową emeryturę z zakazem pobytu na Wybrzeżu i w Warszawie.

Przez krótki czas „złotusty” docent Ocioszyński był wiceministrem, a profesor Kulikowski dyrektorem generalnym w resorcie kierowanym w latach 1956–1964 przez Stanisława Darskiego³. Po kilku latach wszystko wróciło na stare tory „budowy socjalizmu”.

Otrzymałem upragniony dyplom. Dziękując w imieniu dyplomantów za pięć lat zdobywania wiedzy i pomyślnie zdany egzamin, powiedziałem z wewnętrznej radości m.in., że „cel został osągnięty”. Po chwili jeden z członków komisji mnie „skorygował” i powiedział, że chyba miałem na myśli „cel na tym etapie studiów”. Po opadnięciu emocji zrozumiałem, że była to zachęta do podjęcia dalszego trudu. W tym dniu byłem jednak szczęśliwy, że ukończyłem studia.

Dla wyjaśnienia należy krótko wspomnieć, że pierwsze opóźnienie spowodowane było przez niemieckiego okupanta, a drugie przez sowieckiego namiestnika Konstantego Rokossowskiego, który w kwietniu 1951 r. wstrzymał wszystkie zwolnienia z wojska, w tym po odbyciu zasadniczej służby wojskowej. W moim wypadku w 1950 r. chodziło o półroczne przeszkolenie i powrót do domu w maju 1951 r. Dodać należy, że wówczas toczyła się wojna w Korei, w której miało wziąć udział także ludowe wojsko, ale to już zupełnie inna historia.

* * *

Kontynuacja dalszych studiów ekonomicznych była jednak problematyczna, tak ze względu na program studiów, jak i osobiste poglądy na gospodarkę dykta-

³ S. Darski, *W służbie żeglugi*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1978.

tury proletariatu. Utwierdziły mnie w tym przekonaniu przedwojenne analizy i studia porównawcze krajów o ustroju totalitarnym (ZSRR i III Rzeszy) profesora Stanisława Swianiewicza (1899–1997). Studia doktoranckie podjąłem zatem w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu w zakresie technologii spożywczej, bo wydawało się, że studia techniczne były ideologicznie neutralne. Miałem tam wspaniałego promotora profesora Józefa Jankowskiego, kierownika katedry Technologii Przetwórstwa Zbożowego. Już wkrótce miałem się przekonać, że moje artykuły napisane w czasie pobytu we Włoszech 1968/69 okazały się nie do strawienia przez cenzurę. Był to także kres mojej „kariery” na Wybrzeżu Gdańskim i w kraju.

Jako autodydaktyk kontynuowałem studia w zakresie historii Polski i krajów skandynawskich. Moje studium historii prócz podręczników i książek przedwojennych, zdobywanych w antykwariatach w Warszawie i w Gdańsku, uzupełniałem pracami takich autorów, jak: Władysław Czapliński, Karol Górski, Władysław Konopczyński i Paweł Jasienica oraz Instytutu Bałtyckiego.

Wiele czasu poświęciłem na słuchanie m.in. wykładów historii profesora Mariana Kukiela w Radiu Wolna Europa. Słyszalność RWE w Gdyni była podła, więc na początku lat sześćdziesiątych wyjechałem na miesiąc urlopu do brata we Wrocławiu. Każdego dnia od rana do wieczora słuchałem różnych audycji RWE, a przede wszystkim cyklu wykładów i audycji w zakresie kultury, które były kilkakrotnie powtarzane, a tym samym ułatwiły robienie notatek.

Zamiłowanie do historii, które wyniosłem z gniazda rodzinnego, gdzie żywa była historia strajku szkolnego w 1905 r., powstańców wielkopolskich i odrodzonego Wojska Polskiego, w tym zainteresowania mego ojca. Natomiast zainteresowania Skandynawią łączą się bezpośrednio z powiązaniem rodzinnymi w Danii. Odwiedziny krewnych przed wojną w Polsce zawsze budziły zaciekawienie, zwłaszcza gdy armator, rozbudowując flotę, zamówił statek pasażerski w duńskiej stoczni Nakskov (M/S Chrobry), gdzie wcześniej dokonano modernizacji „Daru Pomorza”. Ciekawe, że „Pamiętniki” Jana Chryzostoma Paska nie wzbudziły większego zainteresowania i nie odegrały w tym procesie większej roli. Bardziej pociągał oprawiony tom „Pielgrzym” (1864/65) ofiarowany mi przez babcię Kruegerową po uzyskaniu matury w 1950 r. Babcia Synakowa od najmłodszych lat opowiadaniem o nieodżałowanym mężu, który poległ pod Soisson (Francja) w 1918 r., kierowała moje myśli ku Kaszubom i Bałtykowi.

W 1953 r. zostałem służbowo przeniesiony z Warszawy do Gdyni i wówczas nawiązałem bliższe kontakty z naszą kaszubską rodziną. Wtedy też nieformalne przygotowania językowe zaowocowały w czasie studiów w Kopenhadze na duńskiej uczelni i w Londynie na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie.

Przemiany ustroju w kraju rozpoczęte w 1989 r. były spełnieniem marzeń wojennego pokolenia przymusowych emigrantów, jak również tych wszystkich, którzy emigrowali po 1945 r. z pojałtańskiej Polski. Nasz oficjalny powrót na

Wybrzeże łączy się z zaproszeniem na II Kongres Kaszubski (12-14 VI 1992) w Gdańsku, w którym z radością wzięliśmy udział. Zamieszkaliśmy w Sopocie w willi nieopodal mojej dawnej uczelni. Wówczas to profesor Józef Borzyszkowski, pełniąc odpowiedzialne funkcje senatora RP, wicewojewody gdańskiego i prezesa ZK-P powiedział do nas, że „Polski nigdy nie opuściliśmy...”, za co jesteśmy po dzień dzisiejszy wdzięczni, bo stał się pomostem i ogniwem łączącym wychodźców z macierzą.